

NAJGORZEJ JEST, KIEDY IDĄ ŚWIĘTA

Nie jestem pokorną owcą i czasem mnie korci, żeby odpowiedzieć na coś bardziej dobitnie, zwłaszcza gdy ktoś dotyka rodzinę. Ale wtedy sobie powtarzam, że nie mogę ulegać hejtowi. Muszę dawać przykład

Z MAGDALENĄ ADAMOWICZ
ROZMAWIAJĄ GRZEGORZ KUBICKI
I MACIEJ DRZEWICKI

„Pawelku, pierwsze święta bez Ciebie... Pozostał ogrom ciepłych wspomnień, lzy tęsknoty... I Ty na zawsze w naszych sercach”. To pani wpis na Facebooku z 26 grudnia.

– Balam się tych świąt. I dla mnie, i dla córki najsmutniejsza była sama myśl, że zbliża się pierwsze Boże Narodzenie bez Pawła. 23 grudnia rozkleiłam się zupełnie, przeplakałam cały poniedziałek. W domu, na ulicy, jadąc samochodem. Nie potrafiłam tego zatrzymać, nawet po śmierci i pogrzebie Pawła nie płakałam tyle, co dzień przed Wigilią. I jeszcze trochę w samą Wigilię, ale tylko rano. W święta nie było już tak źle, chyba wcześniej wszystkie lzy już wyleciały.

24 grudnia rozpoczęliśmy z córkami od spowiedzi u księdza Krzysztofa Niedałowskiego. U mnie w domu zawsze się śmiano, że w Wigilię i Wielki Piątek, tak na ostatnią chwilę, to spowiadają się już tylko najwięksi zbrodniarze. Wróciłam jednak z Brukseli, nie chciałam biegać po kościołach, nie chciałam szybkiej spowiedzi, żeby ją tylko odklepać. Zależało mi, by z kimś szczerze, dłużej porozmawiać.

Od księdza Niedałowskiego wyszłyśmy pozytywnie naładowane. Zaszyłyśmy do kawiarni filmowej na Lawendowej. Mojej starszej córce, Tuni, bardzo zależało, żeby mi ją pokazać. Na półkach stoją tam pootwierane książki. A Tunia kocha książki. Dziewczyny zamówiły tosty, oczywiście bez szynki, bo wigilijny post, a do mnie dotarło, że to jedna z naszych nielicznych Wigilii, kiedy nigdzie nie gnamy, nie szamocemy się w kuchni. Siedziałyśmy sobie w tej knajpie jak turystki.

Potem poszłyśmy na tradycyjną gdańską wigilię dla najbardziej potrzebujących, koło Zbrojowni.

Prezydent Adamowicz zawsze tam chodził.

– I my z nim, zwłaszcza dziewczyny. Były tacy, którzy odradzali Pawłowi, dziwili się, że zabiera tam dzieci. Mówili, że choroby, zarazki, że wiele osób jest tam nietrzeźwych. Ale on nie słuchał i kiedy mógł, zabierał Tunię i Teresę. Chcieliśmy, żeby dziewczyny się integrowały, by nie żyły w izolowanym świecie. Tym razem przeszły same siebie, od wejścia rzuciły się do pomocy. Kiedy ja rozdawałam paczki, Teresa serwowała bigos, a Tunia pierogi. I nie chciały wychodzić. Myślałam, że ich stamtąd nie wyciągnę.

Ludzie was poznawali?

– Zdarzało się. Usłyszałyśmy trochę miłych słów, pozdrowień. Podczas spotkania podeszła kobieta, młoda, koło trzydziestki. Przyszła z siedmiorgiem dzieci – z obecnego i poprzednich związków, jej i partnera. Opowiadała, że jest jej ciężko, nie pracuje. Odpowiedziałam tak, jak robił to Paweł – żeby pomyślała o szkole, edukacji, zdobyciu zawodu i pracy. Bo Paweł uważał, że edukacja pomaga w życiu, pozwala się często wyrwać z trudnego środowiska, beznadziejnej sytuacji. Znam co najmniej kilka osób, które pilotowane przez Pawła skończyły wieczorowe szkoły, zrobiły maturę, niektóre licencjat. A o ilu takich osobach jeszcze nie wiem. Dziwiłam się Pawłowi, skąd bierze na to czas. Zwłaszcza że często sam dzwonił do tych ludzi. Albo do dyrektorów szkół, żeby podpytać, jak dzieci z tych rodzin radzą sobie w lekcjach.

Jak wyglądała wasza rodzinna Wigilia?

– Na kolację pojechaliśmy do Piotra, brata męża, to w jego domu od lat się spotykamy. Są tam teściowie i siostra teściowej, która przyjeżdża z Warszawy. Dziadek zawsze pilnuje, aby przed wieczorą porządknie się pomodlić. Antonina czytała Pismo Święte, potem modlitwę, jeszcze jedną, na koniec jeszcze modlitwę przed jęzieniem. Zawsze to trochę trwa, choć niektórzy niecierpliwie spoglądają już na jedzenie. Obojętne jest też śpiewanie kolęd. Mamy taki chórek – ja, teść, teściowa i dzieci. W naszym chórze dominuje dziadek. To

rozkręcili. Opowiadali o wakacjach, które Paweł spędzał u babci w Elblągu.

Wspominaliśmy też w drugi dzień świąt, kiedy pojechaliśmy z rodzicami do Pawła kuzynki. Starsze kuzynki Pawła śmiały się, że zawsze mu z Piotrkim uciekali, chowali się przed nim, bo Paweł był o kilka lat młodszy. Choć bawili się też razem – wchodzili na drzewa albo przez dziurę w płocie na poligon, gdzie często ktoś ich gonił.

Coś panią zaskoczyło?

– Pierwszy raz słyszałam historię o przyszywanej babci, poetce – bo tak ją nazywała, która przychodziła do babci Pawła, do domu teściów. Paweł bardzo ją lubił. Kiedy zmarła, przyszedł teść i powiedział, że trzeba się zająć pogrzebem, bo ona nikogo nie miała. Poszli więc do zakładu pogrzebowego, a tam ich zapytali, czy usługa ma być „full serwis”. Paweł na to, że tak. A oprawa muzyczna? Też ma być. Na pogrzebie zjawili się tylko teściowie, Paweł i Piotrek. Znaczenie więcej było obsługi, łącznie z orkiestrą dętą. Teściowa wspominała, że nie wiedziała, jak się zachować. A teść szturchał Pawła, żeby może już skończyli, a przynajmniej orkiestra. Ale Paweł nie chciał.

W święta poszłam z córkami na długi spacer szlakiem szopek. U franciszkanów grały organy. Podeszedł do nas przeor i powiedział: „Wasza też tam gra”. Miał na myśli piszczałkę w organach, którą ufundował.

Kiedy oglądałyśmy wręczenie Nobla dla Olgi Tokarczuk, powiedziałam do Tuni:

„Gdyby tata z nami był, to pewnie by teraz płakał”

on trzyma śpiewnik i zaczyna każdą kolędę mocnym głosem. Ja koryguję tylko później tempo. Lubimy sobie razem pośpiewać.

Potem pojechaliśmy jeszcze do moich rodziców. A na koniec poszłyśmy z Antonią na pasterkę do kościoła św. Jana.

W pierwszy dzień świąt przywieźliśmy teściów do moich rodziców. Oni chcą zawsze szybko uciekać, mówią, że nie chcą przeszkadzać, ale tym razem udało nam się ich przytrzymać aż do 22. Obejrzeliśmy wspólnie film „Dwóch papieży”. Byli szczęśliwi.

Rozumiemy, że im się podobał?

– Bardzo. Teść kręcił tylko nosem, że papieży tyle tych meczów ogląda. Mówił, że to niemożliwe, zostało to przekrojowane, przecież papież nie ma tyle czasu.

Wspominaliście?

– W pierwszy dzień świąt poprosiłam teściów, żeby wspominali, jak Pawełek był mały. Początek był trudny, ale potem się

Takie naturalne wspomnienia przychodzą też w życiu codziennym. Często łapię się na tym, że mówię: „A Paweł by to zrobił tak”. Kiedy oglądałyśmy wręczenie Nobla dla Olgi Tokarczuk, powiedziałam do Tuni: „Gdyby tata z nami był, to pewnie by teraz płakał”. Bo Paweł zawsze się w podobnych sytuacjach wzruszał i ścisnął mnie wtedy mocno za rękę.

Często się wzruszał?

– Nawet wtedy, kiedy chodził z dziećmi do kina. Na filmie „Coco” oboje płakaliśmy.

W Stanach zachwycił się serialem Netflix’a „Ania, nie Anna”, czyli adaptacją „Ani z Zielonego Wzgórza”. Dołączył do nas w trakcie oglądania – były już dwa sezony – ale szybko wszystko nadrobił i chwalił: „Jaki to mądry film, jakie dobre przesłanie”. W ogóle lubił analizować. Pamiętam dyskusję o „Harrym Potterze”, którego – film po filmie – też oglądaliśmy w Stanach. Paweł komentował z Antonią, jak dobrze wygrywa, jak to jest pokazane, jakie koszty trzeba ponieść, żeby tak było.

W święta w polskiej telewizji mogliśmy obejrzeć „Miłość jest wszystkim”, komedię kręconą w Gdańsku, w której w dwóch scenach pojawia się pani mąż.

– To również oglądaliśmy w Stanach. Kiedy Paweł do nas przyjechał, miał ten film na pendrive, bardzo chciał nam go pokazać, był dumny, jak pięknie pokazano w nim Gdańsk. To była kopia ze znakiem wodnym, napisem „Paweł Adamowicz” przez cały film. Takie zabezpieczenie, żebyśmy przypadkiem nigdzie nie wypuścili tego filmu przed kinową premierą.

Jest jakiś świąteczny prezent od męża, który szczególnie pani zapamiętała?

– Paweł nie miał głowy i czasu do prezentów. To była moja domena, żeby wszystko zorganizować. Czasem także prezent dla samej siebie (*śmiech*). Kiedy Paweł przyjechał do Stanów, nawet się zdziwiłam, gdy rozdałam już wszystkie prezenty, które wcześniej przygotowałam, pod choinką został jeszcze jeden, z karteczką „Magdusia”. To były eleganckie perfumy, mam je do dzisiaj.

Paweł, jak już robił komuś prezent, to głównie książkowy. Czy to w rodzinie, czy współpracownikom. I nie były to książki przypadkowe. Sam też lubił najbardziej dostawać takie prezenty. Wycinał nawet z „Wyborczej” recenzje, odkładał je, żeby pamiętać. A dla nas była to często podpowiedź, jak prezent mu sprawić.

TAM BYLIŚMY SZCZĘŚLIWI

Jak to się stało, że ostatnie święta spędzaliście w Stanach?

– Przed wyborami samorządowymi w 2018 roku naprawdę się baliśmy – że zrobiamy nam jakieś straszne świństwo. Paweł miał nawet przygotowane oświadczenie, w dwóch wersjach, które w razie gdyby go aresztowali, miałam wygłosić ja lub adwokat. Całą tę presję i nagonkę na Pawła bardzo przeżywała Antonina. Ona jest bardzo dojrzała, ale to ciągle dziecko, miała wtedy 14 lat. Paweł był megasilny, zawsze go podziwiałam, skąd on bierze na to siłę, jak daje radę. Ja brałam trochę tej siły od niego, pomagała mi też moja wiara. Ale byliśmy bezsilni w stosunku do dziecka, które jest

FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA GAZETA, MAKIAŻ I FRYZURY ANNA BEATA WASILEWSKA



➤ najbardziej bezbronne. Widzieliśmy, że Tunia bardzo to przeżywa, trzeba z nią dużo rozmawiać, dużo jej tłumaczyć.

Chcąc ją chronić, postanowiliśmy, że Tunia wyjedzie na jakiś czas za granicę, do szkoły. Myśleliśmy o Szkocji, ale pojawiła się możliwość wyjazdu do Stanów, gdzie mamy znajomych, u których spędziliśmy wcześniej wakacje. Oni mają mały domek, który zgodzili się nam wynająć. Tunia mieszkała w nim razem z kobietą, która zajmowała się domem naszych znajomych. Kiedy okazało się, że ta pani musi wrócić do Polski, podjęliśmy decyzję, że dołączę do Antoniny. Miałam akurat pisać habilitację, dostałam urlop naukowy, pomyślałam, że wezmę Teresę i po wyborach pojeżdżemy do Stanów. Będę tam pisała pracę, zajmę się córkami, Paweł skusi się na pracę.

On nie był na początku zachwycony tym pomysłem. Naszkicowałam mu to tak: wyjadę na koniec listopada, Paweł przyjedzie do nas na święta, potem my przyjeżdżemy w czasie ferii, na Wielkanoc on nas odwiedzi, a w czerwcu przyjedzie do nas na długi urlop, zrobimy sobie tour po Stanach i po nim wszyscy wrócimy już do Polski. Paweł się w końcu zgodził, wszystko udało się poukładać. Czulałam wtedy ogromne szczęście. Pomyślałam nawet: „Boże, jaki ty jesteś szczydry”. Udało się wysłać Tunię do szkoły w Stanach, była tam szczęśliwa, Paweł wygrał trudne wybory, ja dostałam czas na habilitację, nasi rodzice, choć starsi, żyją i są w niezłej formie...

Kiedy do was przyleciał?

– 18 grudnia. Zależało mi, żeby był kilka dni przed świętami, bo Teresa miała występy w szkole, na które zaproszono rodziców. Paweł zwiedził wtedy całą szkołę, podobala mu się jej różnorodność, tam każdy był skądś. I tylko niewielu z USA. Łącznie z panią wychowawczynią, która pochodziła z Wietnamu. Zwiedzaliśmy też liceum Tuni, które wyglądało jak nasz kampus uniwersytecki. Wiele budynków podzielonych na przedmioty i dyscypliny naukowe, siedem kortów tenisowych, basen, boisko do futbolu amerykańskiego, ogromna biblioteka, sala koncertowa. A podkreślałam, że i Teresa, i Tunia uczęszczają do bezpłatnych szkół publicznych. Choć one różniły się od tych, które znamy z amerykańskich filmów, pewnie dlatego, że Santa Monica, gdzie mieszkaliśmy, z Malibu otworzyły osobny dystrykt edukacyjny. Specjalnie opodatkowali się nawet na rzecz inwestycji w szkoły.

Paweł był zachwycony, kiedy je zwiedzałam. Robił mnóstwo zdjęć telefonem, którego po jego śmierci nie udało się, niestety, odblokować.

Jak spędziliście amerykańską Wigilię?

– U przyjaciół, Polaków. A już w pierwszy dzień świąt wyruszyliśmy na północ, w kierunku San Francisco. Jechaliśmy nadmorską trasą, nad samym klifem. Paweł miał prawo jazdy, ale nigdy nie prowadził. Mówił zawsze, że to dlatego, że jego żona tak bardzo lubi jeździć i świetnie sobie radzi. Ale w Stanach trochę się bałam. Znajomi mnie uspokajali, że w USA jeździ się łatwo, dawali mi wskazówki w stylu „musisz tylko pamiętać, żeby zatrzymywać się przed znakiem stop na skrzyżowaniach”. Antonina czytała w samochodzie o miejscach, w których jesteśmy albo które mijamy. Raz wjechaliśmy na drogę w parku krajobrazowym. Tunia zaczęła czytać, że to droga dla ludzi o mocnych nerwach i nie każdy ją wybiera, bo jest trudna, kręta i stroma. Ale nie było już odwrotu.

I jak sobie pani poradziła?

– Jechałam wolno. W najtrudniejszych miejscach były ograniczenia prędkości do 15 mil na godzinę, ale nigdzie nam się nie spieszyło. Znacznie gorsze było to, że korzystała się nam benzyna, a nie widzieliśmy, gdzie jest najbliższa stacja. Zaczynało być nerwowo. Po drodze mijaliśmy cudowne miejsca – oglądaliśmy przepiękny zachód

słońca, plażę, gdzie wylegają się słonie morskie – ale to na widok stacji benzynowej ucieszyliśmy się chyba najbardziej.

W Stanach byliśmy z naszym psem, Zeusem. Wszystkie miejsca, które chcieliśmy odwiedzić, sprawdzałam wcześniej, czy są pet-friendly. Także hotele czy restauracje. W jednym hotelu, choć wcześniej do nich pisałam, że będziemy z psem, zażądali dodatkowo 100 dolarów za jedną noc. Musiałam wyjaśnić tę sytuację, nie było łatwo, ale w końcu odnaleźli naszego maila i przeprosili.

Kto interweniował częściej w takich sytuacjach – pani czy mąż?

– Zawsze ja. Paweł od razu był zapłaczliwy, przeprosił i na koniec jeszcze podziękował. Zeus wzbudził uwagę w muzeum nauki w San Francisco. Sprawdziliśmy wcześniej, że można wejść z psem, ale ochroniarz powiedział: „Widzę, że macie ze sobą przyjaciela”. I okazało się, że z „psami przyjaciółmi” wchodzić nie można. A z jakimi można? – zapytaliśmy. Tylko z tzw. service dog, czyli psami, które są dla nas emotional support. No to musiałam tłumaczyć, że tak właśnie jest.

FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA



Dziewczyny bardzo przeżywały, że tata idzie sam na Orkiestrę, bo zawsze chodzili razem. Zwłaszcza Teresa miała pretensje, mówiła, że to niesprawiedliwe, że ona też by chciała

Wyjazd do Stanów to był najdłuższy urlop w czasie wszystkich kadencji prezydenta.

– Paweł wyjechał ze Stanów 5 stycznia. To była sobota. W niedzielę chciał odespać, a w poniedziałek zaczynał nowy tydzień pracy, który – jak to po takim urlopie – zapowiadał się mocno napięty i kończył się finałem Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

PAWEŁ WŁOŻYŁ PRZECIEŻ GRUBĄ KURTKE

W niedzielę 13 stycznia, w dniu zamachu, mieliście ze sobą kontakt?

– Paweł zadzwonił. U nas była jeszcze sobota, bo między Zachodnim Wybrzeżem a Polską różnica wynosi dziewięć godzin.

W Stanach późno chodziliśmy spać, czekałam zawsze na telefon od Pawła. Dzwonił około 23, u niego był już wtedy następny dzień, ósma rano. Ale w sobotę 12 stycznia zadzwonił znacznie wcześniej, bo już przed 21, co oznaczało, że w Gdańsku jest dopiero przed zmierzchu. Po powrocie ze Stanów Paweł źle spał, poleciłam mu nawet tabletki zioło-

we. Ale tak wcześniej jak tego dnia nigdy nie dzwonił. Tłumaczył, że w nocy w ogóle nie mógł spać, miał koszmary. W końcu uznał, że nie będzie się już męczył, siadzie przy biurku i zaplanuje najbliższe dni pracy. Bo Paweł lubił planować. Na siódmą miał iść do kościoła, potem jeszcze trochę popracować w domu, a następnie wybierał się na Orkiestrę. Pamiętam, że podczas tej rozmowy, naszej ostatniej, narzekał, że nie może uruchomić telewizora, bo znów coś wciśnął, coś mu się przestawilo. Nie był w tym dobry. Przelączaliśmy się więc na kamerkę, żeby się widzieć i żebyśmy mogła go pokierować, co trzeba zrobić, żeby obraz w telewizorze wrócił. I tak się zostaliśmy.

Dziewczyny bardzo przeżywały, że tata idzie sam na Orkiestrę, bo zawsze chodzili razem. Zwłaszcza Teresa miała pretensje, mówiła, że to niesprawiedliwe, że ona też by chciała.

W niedzielę szliśmy do kościoła na 9.30. To pół godziny spacerkiem. W Polsce była wtedy 18.30. Po drodze dzwoniłyśmy do Pawła, ale nie odbierał, był wtedy na protestie przed sądem. Zadzwoniłyśmy więc do babci, mamy Pawła, która opowiadała, że był u niej, zadowolony, bo zbiórka do pusz-

Staralam się je uspokoić. Je i siebie. Wiedzieliśmy, że wiozą już Pawła do akademii, to pewnie opanowali sytuację. To na pewno nie jest duża rana. Pewnie to był mały nóż, szczyrły, a Paweł włożył przeciw grubą kurtkę. Tylko ta reanimacja nie dawała mi spokoju.

Kiedy doszliśmy do domu, zadzwonił rodzice. Chcieli mi powiedzieć, ale ja im przerwałam, że już wiem. Że Paweł jest już w akademii, wszystko będzie dobrze.

Zaczęłam szukać biletów do Polski, do Gdańska. W najbliższym samolocie były tylko dwa ostatnie miejsca. Nie wiedziałam, co robić. Co z dziewczynkami? Lecieć sama? A może tylko z Tunią?

Cały czas dzwonił telefon. Zadzwoniła mama, która spotkała się z zaprzyjaźnioną lekarką. To ona powiedziała, że nam nie czekała już ani chwili i wróciła. Z dziewczynkami. Bo nie jest dobrze. Podobnego zdania byli inni znajomi lekarze – wszyscy byli już wtedy przy Pawle w akademii.

Spakowałyśmy się szybko w jedną walizkę, znajoma szukała nam biletów, a my pojechaliśmy w ciemno na lotnisko. Po drodze zostawiłyśmy tylko Zeusa u brzozylijskich znajomych Antoniny. To u nich wzięłam pierwsze krople uspokajające.

Wydzwaniał też do mnie Ludwik Kowalski, proboszcz z Brygidy. Jeden raz, drugi, trzeci... W końcu odebrałam i naskoczyłam na niego: „Nie mogę teraz rozmawiać, przecież ksiądz wie, co się stało”. Poprosił, żebym się nie rozłączała, mówił, że jest szansa na specjalny samolot rządowy. Nie chciałam pomocy, ale Piotrek, brat Pawła, przekonał mnie, żebym skorzystała, że na miejscu jest już naprawdę źle. Znajomą, która szukała nam biletów, poprosiłam, żeby brała byle co. Byłe do Europy, byłe wystarczające ze Stanów. Znalazła nam bilety do Londynu. Tam czekał już na nas specjalny samolot.

To musiały być koszarne loty.

– Całą podróż do Londynu spędziłam na modlitwie. Modliłam się, płakałam i powtarzałam, że wszystko będzie dobrze. Dziewczyny też dostały krople uspokajające, Teresa siedziała wtulona przy mnie, Tunia zaraz obok.

W szalonej pogoni na lotnisko nie czytałam internetu, nie wiedziałam, co się dzieje, odbierałam tylko co któryś telefon. Tuż przed startem zadzwoniła siostra. Powiedziała, że Paweł jest już po operacji, właśnie przy nim jest i trzyma go za rękę. Zrobiło mi się lepiej, pomyślałam, że to dobry znak, że będziemy się nim opiekować.

W Londynie zaopiekowali się nami lekarze, chyba wojskowi, także psychologowie i psychiatrzy – wszyscy przylecieli tym rządowym samolotem. Dostałam bardzo silny środek uspokajający, właściwie otepiał. Kilka miesięcy później spotkałam jednego z tych lekarzy, nawet mnie przeprosił, że podali mi aż tak mocne leki. Potem niewiele już pamiętałam, tylko migawki.

Kiedy wyładowaliśmy w Gdańsku, na pokład samolotu weszła moja siostra. Powiedziała, że Paweł nie żyje.

Pojechaliśmy do szpitala. Nie pamiętam tego. Tylko jak przez mgłę pamiętam Pawła. Było mi tak przykro, że kiedy przyjechaliśmy, był już zawinięty w materiał. Nawet nie przykryty prześcieradłem, tylko zapakowany w taką folię. Tunia weszła ze mną, strasznie przeżyła ten widok. Na szczęście siostra była na tyle przytomna, że nie pozwoliła wejść Teresce. Rozpaczaliśmy, podobno lekarze bali się, że zaraz coś zrobimy. Interweniował Piotrek, który powiedział, że trzeba mnie natychmiast zabrać.

Pojechaliśmy do domu, ale zaraz powiedzieliśmy rodzicom, że musimy wracać do szpitala. Że chcę jeszcze zobaczyć z Pawłem. Muszę. Kiedy tam dojechaliśmy, okazało się, że zawieźli już go do kostnicy, a pan, który ją zamknął, poszedł do domu i zabrał klucze.

Wyprosił, żeby udało nam się dostać do środka. Przywieźli Pawła do małego pokoiku, gdzie mogłam z nim być jeszcze kilka godzin.

NOWA ŁALKA, NOWA BLUZKA – WSZYSTKO MA WPŁYW

Wydawało się, że ta tragedia coś w Polsce zmieni, że nauczymy się ze sobą rozmawiać. A mamy wrażenie, że teraz jest jeszcze gorzej.

– To, co się stało, wstrząsnęło ludźmi. Także politykami czy mediami. Choć oczywiście, lepiej było tylko przez chwilę. Dla mnie ważne jest jednak to, że po śmierci Pawła zaczęliśmy w końcu głośno mówić o mowie nienawiści, że trzeba ją zwalczać, że słowo może doprowadzić do tragedii. Wcześniej o tym mówiło się w Polsce mało lub wcale, a określenie „fake newsy” było używane tylko w kontekście Trumpa. Nie rozmawialiśmy o mechanizmie, o tym, do jakich tragedii może doprowadzić. W naszym wypadku była to śmierć Pawła, a wcześniej konieczność ucieczki z córkami z Polski.

Dobrze, że mowa nienawiści i walka z nią jest teraz tematem wszechobecnym. Gorzej, że tylko niektórzy rzeczywiście chcą coś zmienić. Niestety, wielu ludzi, także polityków, mówi o mowie nienawiści w sposób cyniczny. Bo sami tego języka używają. Dzieje się tak po obu stronach, w partii rządzącej i w opozycji.

Jak z tym walczyć?

– Powinniśmy zacząć od siebie. Sama nad tym pracuję, często dużo mnie to kosztuje. Mimo że jestem zodiakalnym Baranem, nie jestem pokorną owcą i też mnie czasem korci, żeby odpowiedzieć na coś bardziej dobitnie. Zwłaszcza gdy niedorzeczne komentarze czy opinie dotyczą mnie lub rodziny. Ale wtedy sobie powtarzam, że nie mogę. Choć kosztuje mnie to dużo wysiłku, to chcę i muszę dawać przykład.

Można jakoś zatrzymać hejt?

– Wierzę w to. Im więcej będziemy o tym mówić, tym większe mamy szanse, żeby coś zmienić. Jeśli nie nasze pokolenie, to może kolejne.

To trochę jak ze środowiskiem naturalnym. Dopiero niedawno zaczęliśmy naprawdę zauważać, jak zmienia się klimat i co nam grozi. Wcześniej słowo „ekologia” brzmiało abstrakcyjnie, było obco brzmiące. Podobnie właśnie jak hejt czy mowa nienawiści. W klimacie sięgnęliśmy dna, zaczęliśmy mówić o katastrofie, nagle wszystkie rządy chcą coś zmienić. No, prawie wszystkie. Stajemy się bardziej świadomi – nauczyliśmy się np. segregować śmieci, a dla naszych dzieci to będzie naturalne.

Albo już jest. Dziewięcioletnia Teresa strasznie przeżywa problem związany z kryzysem klimatycznym, ogląda filmy i programy. W pierwszy dzień świąt przybiegła rano i woła: „Mama, mama, ja cię bardzo proszę, obiecaj mi, przyrzeknij na mały paluszek – bo taki mamy gest – że zrobisz coś w tym Parlamencie, żeby to zatrzymać, by nie doszło do katastrofy”.

I co wtedy pani poseł odpowiada?

– Na wpół śpiąca powiedziałam: „Kochanie, obiecuję ci, zrobię coś, już robimy, ale ty też musisz o tym myśleć. Nowa łalka, nowa bluzka – wszystko ma wpływ na zmiany klimatu”.

Teresa wie, ile wody i energii trzeba zużyć do wytworzenia jednego T-shirtu. Że ważne jest to, żeby dawać rzeczom drugie życie. Jeśli bluza się zepsuła, to będzie to świetne ubranko dla kilku lalek, także lalek koleżanek. Ona to lubi – z czegoś zrobić coś, ma taki zmysł.

My też wierzymy w siłę edukacji, ale czy ona wystarczy do walki z nienawiścią?

– Oczywiście, że nie. Potrzebne są też działania prawne i nad takimi pracujemy w Parlamencie Europejskim. To nie jest łatwe, jeden poseł, jedna inicjatywa tego nie załatwi. Ale budujemy międzynarodowy zespół, którego celem będzie wypracowanie rozwiązań, które pomogą powstrzymać falę nienawiści w Europie. Choć nie je-

stem pełnoprawnym członkiem komisji LIBE, która zajmuje się tematami praworządności i sprawami obywatelskimi, jestem w niej mocno aktywna i dostałam zadanie przygotowania raportu. Chcę, żeby kończył się konkretnymi wskazówkami, co można zrobić, czy potrzebna jest zmiana prawa i w jakiej formie. Jeśli raport trafi do Komisji Europejskiej, może uda nam się wytyczyć ścieżkę, którą dotrże także na konwencję ONZ. Przecież język nienawiści nie ma granic, wylewa się na całym świecie. Trzeba zrobić tak jak przy szkodach ekologicznych – ten, kto niszczy klimat, musi za to zapłacić, musi za to odpowiadać. Odpowiedzialność musi oczywiście ponosić sam sprawca, ale może właściciele platform internetowych też powinni za nie bardziej odpowiadać.

Kolejna sprawa to opieka, także psychologiczna, nad osobami poszkodowanymi. Sami to przecież przerabialiśmy, kiedy baliśmy się o Antonię. Nie atakowano jej bezpośrednio, ale jej ojca, a ona – bezbronne dziecko – fatalnie to znosiła. Rozmawiam o tym w parlamencie z koleżankami z Irlandii, Szwecji i Bulgarii, które zajmują się problemami zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Może też wypracujemy wspólną inicjatywę. Miałam nawet nadzieję, że liderką tych prac będzie dziewczyna ze Szwecji, że opowie nam o dobrych praktykach u siebie. Ale ona odpowiedziała, że u nich jest to tak samo poważny problem jak w każdym innym kraju. Nienawiść nie ma granic.

A jak w Parlamencie Europejskim wyglądają współpraca i kontakty europosłów z Polski? Jest szansa na wspólny front?

– Kiedy szłam do Parlamentu, nikogo nie znałam. Teraz mam już kilku serdecznych znajomych, wszyscy z ramienia Koalicji Europejskiej. Jeśli chodzi o europosłów z PiS, to nie rozmawiałam z żadnym. Klaniałam się kilka razy starszej koleżance, która też jest z Gdańska, ale nigdy mi się nie odkloniła. Zdarzało mi się też jechać z europosłami PiS w jednym samochodzie z lotniska w Brukseli, ale nigdy nie odezwali się do mnie słowem.

Czy pani i pani córki przestałyście się już bać? Da się uodpornić na ataki, które was spotykały i nadal spotykają?

– Nigdy się nie da. Zwłaszcza kiedy są to ataki ad personam. Najlepsza metoda to po prostu tego nie czytać, nie dzielić włosa na czworo.

Mowa nienawiści cały czas się rozprzestrzenia. I będzie jej coraz więcej. Jeżeli nie stworzymy ram, barier, przepisów, może nas zniszczyć. Niestety, prawo nie jest futurystyczne, tylko goni realne życie, musi reagować na zmiany i nowe zagrożenia. Tu na razie nie ma mądrych – jaka kara, za co, w jakiej wysokości. Nie mamy jeszcze nawet precyzyjnej definicji hate speechu – gdzie jest granica między mową nienawiści a wolnością słowa, wolnością mediów? Taką granicę trzeba dopiero wyznaczyć i wtedy ustalić konsekwencje – co się stanie, jeśli ją przekroczysz.

I koniecznie trzeba edukować ludzi, do czego przekroczenie tej granicy może doprowadzić. Nawet na przykładzie naszej rodziny i naszej tragedii. ●

W poniedziałek w „Wyborczej” magazyn reporterów „Duży Format”

JAKIM SYNEM BYŁ PAWEŁ ADAMOWICZ?

Rozmowa z Teresą i Ryszardem Adamowiczami, rodzicami zamordowanego prezydenta Gdańska



NAJKRÓCEJ

Jonasz

Czy Kościół jest tajemnicą?

Tak się mianowicie nazywa moja religijna wspólnota. Pamiętam, że swego czasu krytykował ten zwyczaj translatorski ksiądz profesor Tadeusz Gogolewski. Wyjaśniał, że Kościół nie ma nic do ukrywania: należy zostawić słowo grecko-lacińskie „mysterium”. Dobra, ale instytucja owa wydaje mi się ciągle mimo starań papieża Franciszka jednym wielkim sekretem. Nadal utajniane jest w nim okropnie dużo!

Rozumiem, że nie wszystko należy zaraz rozgadać. Są naturalnie ludzkie sprawy prywatne, intymne, publikować je ma prawo chyba tylko ich, by tak rzec, właściciel. Są również publiczne, w których obowiązuje słusznie jakowaś dyskrekcja. Zarazem jednak Biblia przekazała nam taką obserwację życiową: „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coś, coście w izbie szeptali do ucha, głosić będą na dachach” (Ewangelia Łukasza 12,2-3). Chodzi mi nie tylko o przeraźliwe przestępstwa księży pedofilii, nie tylko o duchowne umiowanie mamony. Tajemne są na przykład fakty nieamoralne przecież, jak na przykład rozkład kardynalskich głosów podczas wyborów kolejnego biskupa rzymskiego: że najczęściej dostał kardynał Ratzinger i został Benedyktem XVI, a Bergoglio mniej. Media ujawniły to wnet.

Jest też szkodliwa skłonność do milczenia w sprawach jeszcze innych, ale to już napiszę w blogu janturnau.home.blog.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ewa Lipska*

Wyjście awaryjne

*Ten schodzący ze schodów człowiek
ustrzymujący się od wszelkich sądów
przeciwnik sofistów
rozmawiający z samym sobą
ofiara żarłocznych metafor
które z tłustych jambów
pozostawiły mu tylko same wątpliwości
lubi archiwalne przejażdżki.*

*Urlop spędza w Antykwaracie
starym wielostronicowym uzdrowisku.
Kocha młodych kolekcjonerów monet.
Fałszerzy bankowych czeków.*

*Jest może tylko geniuszem
skazanym na zwykłą podróż
kolejką podziemną.*

*Zapytany przez sąsiada w windzie
co sądzi o życiu pozagrobowym
odpowiada: to tylko wyjście awaryjne.*

*Ewa Lipska - ur. w 1945 r. w Krakowie, poetka. Autorka m.in. tomów: „Przechowalnia ciemności” (1985), „Strefa ograniczonego postępu” (1990), „Ludzie dla początkujących” (1997), „1999” (1999), „Sklepy zoologiczne” (2001), „Ja” (2003), „Gdzie Indziej” (2005), „Pomarańcza Newtona” (2007) i „Pogłos” (2010).



Wiersz z tomu „Stypendyści czasu” (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994), tutaj tekst za: Ewa Lipska „Wiersze wybrane”, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 85., a5, Kraków 2015